

JANÓW PODLASKI
POLSKA WSCHODNIA, 1938

Siedemset kilometrów na wschód od spiskującego w Berlinie Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych pracownicy państwowej stadniny koni w Janowie Podlaskim nie mieli pojęcia o zakusach Niemców na ich araby czystej krwi. Konie żyły tu wśród bujnych łąk nad lśniącymi wodami Bugu. Galopując przez zielone pola, zdawały się unosić w powietrzu – ich jedwabiste ogony powiewały niczym chorągwie na wietrze, a kroki były tak lekkie, jakby tańczyły Szopenowskiego poloneza.

W jednym z przestronnych boksów janowskiej stadniny, grubo wyłożonym świeżą słomą, 30 kwietnia 1938 roku o wpół do piątej nad ranem siwa klacz urodziła źrebię. Od pierwszej chwili, gdy konik stanął chwiejnie na długich, niepewnych nogach i błyszczącymi ciemnobrązowymi oczami popatrzył na świat, zwracał na siebie uwagę; doskonałe proporcje zapowiadały, że będzie to jeden z najbardziej obiecujących ogierów urodzonych w tym roku. Na szerokim czole miał dużą białą gwiazdkę, której kształt wyraźnie przypominał kontury jego rodzinnej Polski, a na nogach białe pasy sięgające pęciny – tak zwane skarpetki. Później dodawały mu one szczególnego uroku za każdym razem, gdy podnosił kopyta. Jeszcze jedna biała plamka umiejscowiona pomiędzy chrapami – chrapka – podkreślała delikatne, lśniące nozdrza, z zewnątrz smoliście czarne, wewnątrz różowe jak koncha. Szlachetne imię Witeź doskonale pasowało do tego wspaniałego ogiera. To staropolskie słowo oznacza wojownika, wodza, rycerza, a kojarzy się z takimi przymiotami, jak honor, odwaga i wierność.

Białe stajnie janowskiej stadniny, założonej w 1817 roku, na kształt podkowy zamykały z trzech stron rozległy dziedziniec; środkowa nosiła nazwę stajni Zegarowej od prostokątnej wieży z zegarem pośrodku budynku. W dachach pokrytych szarym łupkiem odbijały się promienie wiosennego słońca. Otoczone ze wszystkich stron bujnymi pastwiskami stajnie hodowlane w Janowie odpowiadały tradycyjnym wymogom hodowli koni.

Pierwsze wzmianki o koniach arabskich w Polsce pochodzą z końca XVII wieku. Sprowadzone przez Turków osmańskich, z czasem zostały docenione do tego stopnia, że w XIX wieku możni polscy arystokraci wyprawiali się do Arabii w poszukiwaniu koni czystej krwi, chcąc je hodować w swoich posiadłościach. W 1917 roku większość dużych polskich stadnin splądrowali bolszewicki maruderzy, którzy wybijali tamtejsze stada, uważając rasowe konie za wielkopańskie fanaberie. Martwe zwierzęta zwisały z krokwi dachowych z poderżniętymi gardłami. Maneże spływały krwią. Z pięciuset zarejestrowanych w Polsce przed 1917 rokiem rasowych koni arabskich ocalało tylko pięćdziesiąt. W 1918 roku, u schyłku pierwszej wojny światowej, w Janowie nie było już ani jednego araba czystej krwi. Dyrektor stadniny, Stanisław Pohoski, z wielkim trudem odbudowywał ją od podstaw. Wymagało to prawie dwudziestu lat, ale teraz, wiosną 1938 roku, polski narodowy program hodowli działał już pełną parą z trzydziestoma trzema klaczami zarodowymi dającymi rekordowy przychówek obiecujących źrebiąt.

Zastępca dyrektora stadniny, Andrzej Krzyształowicz, był poważnym młodym człowiekiem o ostrych rysach twarzy. Urodzony w Wiedniu, dorastał pośród koni jako syn administratora kilku majątków z największymi w Polsce stadninami. W wieku młodzieńczym pasjonował się mechaniką i lotnictwem; początkowo zamierzał zostać pilotem, ale miłość do koni zwyciężyła. (Zamiłowaniu do mechaniki pozostał wierny jako kierowca nowiutkiego amerykańskiego forda).

W grudniu 1938 roku Krzyształowicz przyjechał do Janowa, aby objąć stanowisko zastępcy dyrektora stadniny. Witeź nie miał jeszcze roku. Młody człowiek szybko nabrał przekonania, że gniady z białą gwiazdką to wyjątkowy okaz wśród tegorocznych źrebiąt i że Janów Podlaski wkrótce odzyska pozycję, którą cieszył się przed Wielką Wojną. Tego roku najlepszy ogier, Ofir, splodził trzy

wspaniałe źrebaki: Witezia i jego dwóch przyrodnych braci: Witraża i Wielkiego Szlema. Dyrektor stadniny, czterdziestotrzyletni Stanisław Pohoski, był od Krzyształowicza starszy o dwadzieścia lat i z czasem miał przejść na emeryturę. Krzyształowicz żywił nadzieję, że pewnego dnia zastąpi go na stanowisku dyrektora państwowej stadniny i razem ze wspaniałą trójką z 1938 roku oraz znakomitościami, które dopiero się urodzą, wzniesie hodowlę polskiego konia arabskiego na nowe wyżyny. Lubił zatrzymywać się przy ogrodzeniu pastwiska, na którym brykał Witeź u boku swojej matki Federacji. Siwa klacz miała w umaszczeniu rzadką odmianę zwaną „krwawym śladem”. Według arabskich wierzeń siwa klacz z plamą rudawej sierści rodzi konie, które zdobywają chwałę w bojach.

Na początku 1939 roku w Janowie panowała atmosfera spokoju i pomyślności, ale ciemne chmury już się gromadziły wokół tego pogodnego miejsca. Za kilka miesięcy, pod koniec sierpnia, Niemcy i Rosjanie mieli podpisać pakt o nieagresji z dodatkowym tajnym uzgodnieniem, że nie będą walczyć ze sobą o Polskę, lecz podzielą kraj na dwie strefy wpływów. Tydzień później, 1 września 1939 roku, Niemcy wtargnęli do Polski od zachodu. Witeź i jego bracia mieli zaledwie rok.

Janów Podlaski leżał osiem kilometrów od Bugu, tworzącego granicę ze wschodnim sąsiadem Polski, Związkiem Radzieckim. Wszelkie nadzieje, że Niemcy nieprędko dotrą tak daleko na wschód, wkrótce się rozwiały. W ciągu zaledwie pięciu dni niemiecki blitzkrieg przekroczył Wisłę, płynącą przez środek Polski mniej więcej równoległe do Bugu. A przecież wydawała się barierą nie do pokonania. Niemcy znajdowali się teraz 240 kilometrów od Janowa i szybko posuwali się naprzód.

Kiedy sytuacja stała się naprawdę groźna, garstka personelu janowskiej stadniny z najwyższym niepokojem naradzała się, co robić dalej. Krzyształowicz słuchał uważnie, gdy Pohoski rozważał różne możliwości. Dyrektor stadniny żył dość długo, by pamiętać grabieże, jakie dotknęły stadninę, kiedy janowskie konie ostatnim razem znalazły się w strefie wojennej. Dyskutując, mężczyźni mieli w pamięci owoce swojej pracy: cętkowane klacze z źrebiętami u boku, królewskiego ogiera Ofira, trzy wspaniałe roczniaki. Myśl, że mogą wpaść w ręce oprawców, budziła rozpacz. Perspektywa długiej wędrówki z końmi wiązała się z ogromnymi trudnościami, ale dyrektor nie chciał już dłużej beczynnie czekać. Nie nasuwało się żadne dobre rozwiązanie. Po kilku dniach wahania Pohoski podjął ostateczną decyzję. Zarządził ewakuację całej stadniny ze wszystkimi końmi. Droga miała prowadzić na wschód przez Bug, a później na południe do Rumunii, gdzie spodziewano się znaleźć ocalenie – do pokonania było ponad 800 kilometrów.

Rankiem 11 września 1939 roku niezwykła karawana ruszyła w drogę: na czele Pohoski z bagażami w powozie zaprzężonym w dwa konie, za nim pieszo koniuszy stada, prowadzący kilkanaście niespokojnych ogierów. Młody stajenny trzymał na lince Witezia. Kiedy książę z błyszczącymi oczami i wysoko uniesionym ogonem tanecznym krokiem opuszczał stajnię, wyglądał, jakby udawał się na miłą przechadzkę, a nie uciekał przed śmiercią. Krzyształowicz szedł na końcu, mając pod opieką grupę wymagającą największej troski – klacze z rozbrykanymi źrebiętami.

Dwieście pięćdziesiąt szlachetnych koni arabskich wlokło się długim szeregiem wąskimi, wyboistymi drogami; tupot kopyt niósł się w powietrzu, gdy przechodziły obok ubogich gospodarstw i skromnych domostw, których mieszkańcy patrzyli w zdumieniu na paradującą przed nimi końską arystokrację – zupełnie nie na miejscu, jak przejeżdżający przez wieś królewski orszak. Kiedy grupa z Janowa dotarła do głównej szosy wiodącej z zachodu na wschód, natknęła się na falę zrozpaczonych tułaczy – niektórzy szli pieszo, inni poruszali się wozami konnymi wyładowanymi po brzegi dobytkiem. Drogi były pełne uchodźców, którzy ciągnęli na wschód, uciekając przed zbliżającymi się Niemcami. Towarzysze wędrówki opowiadali przerażające historie – niemieckie lotnictwo ostrzeliwuje kolumny uchodźców i atakuje ludność cywilną. Drogi przestały być bezpieczne. Ludzie z Janowa postanowili więc wędrować tylko nocami.

Opiekun Witezia spoglądał na niego z niepokojem. Konik był zwawy, ale po wielu godzinach marszu pojawiły się już wyraźne oznaki zmęczenia. Niebawem Witeź i jego dwaj bracia zaczęli mieć

trudności z dotrzymaniem kroku starszym ogierom. Na zatłoczonych drogach trudno było zapanować nad końmi. Krzyształowicz usiłował zapobiec stratom, lecz stajenni prowadzący konie mogli tylko patrzeć bezradnie, gdy któryś spłoszony odrywał się od stada. Wkrótce część najmłodszych źrebiąt pozostała w tyle, szturchana i popychana do przodu przez matki. Po pewnym czasie niektóre zaczęły utykać i upadać, niezdolne zrobić kolejnego kroku.

Kiedy wspięli się na wierzchołek wzgórza, doszło do katastrofy. Zobaczyli przed sobą ogromny polski konwój wojskowy tarasujący środek drogi. Konie idące na przedzie przestraszone nieoczekiwanym widokiem zaczęły stawać dęba i się cofać. Po chwili w wyniku reakcji łańcuchowej droga stała się polem walki dla koni, które kłębiły się, bijąc kopytami na wszystkie strony. Nastąpił kompletny zamęt. Stajenni próbowali rozpaczliwie opanować swoich podopiecznych, lecz w zamieszaniu duża grupa koni się rozbiegła. Krzyształowicz patrzył bezradnie, jak Witeź zrywa się i pędzi w leśną gęstwinę. Zanim ludzie z Janowa odzyskali kontrolę nad sytuacją, ponad osiemdziesiąt koni zdążyło uciec, a wśród nich trzy najcenniejsze: Witeź, Witraz i Wielki Szlem.

Nie mogąc zejść z głównej drogi ani porzucić koni, by przeszukiwać lasy, trzeba było iść dalej z pomniejszonym stadem. Krzyształowicz poprzysiągł sobie, że gdy znajdą się w bezpiecznym miejscu, powróci, żeby szukać zaginionych. Kiedy ruszali w dalszą drogę, konie głośnym rżeniem nawoływały zagubionych towarzyszy. Gdzieś głęboko w lesie Witeź wędrował samotnie. Zgnębiony Stanisław Pohoski wyciągnął pistolet i przyłożył sobie do skroni, gotów popełnić honorowe samobójstwo. Krzyształowicz przemawiał do niego łagodnie, lecz stanowczo. Przekonywał, że obowiązkiem dyrektora jest ratowanie reszty koni i że nie mogą się teraz poddać. Po chwili, która zdawała się wiecznością, Pohoski opuścił pistolet i schował go do kabury.

Szli dalej, patrząc, jak źrebięta z pozdieranymi w długim marszu delikatnymi kopytami usiłują dotrzymać im kroku. Po pewnym czasie spostrzegli, że uchodźcy przemieszczają się teraz w dwie strony – jedni uciekali na wschód, inni ciągnęli na zachód. Nikt nie wiedział, który kierunek może się okazać zbawienny. Szosy były zapchane ludźmi i poprzegradzane blokadami zakładanymi w pośpiechu przez broniące się polskie wojsko. Słaba widoczność w ciemności stwarzała jeszcze jedno zagrożenie. Pewnej nocy natrafili na zasieki z drutu kolczastego biegnące w poprzek drogi. Zanim rozpoznali przeszkodę, osiem koni zaplątało się tak, że nie można ich było uwolnić. Rozpaczliwy ryk przeszył powietrze; zwierzęta szarpały się, przez co druty jeszcze mocniej oplatały ich ciała. Krzyształowicz w milczeniu sięgnął po pistolet. Osiem celnych strzałów rozległo się w ciemnościach. Zapadła cisza, ale dla uciekinierów z Janowa noc stała się jeszcze ciemniejsza, cięższa i bardziej beznadziejna.

Znikąd nie było ratunku. Niebawem rozeszła się wiadomość, że 17 września Sowieci przekroczyli wschodnią granicę Polski i zmierzają w ich stronę. Po dalszych trzech wyczerpujących dniach pracownicy janowskiej stadniny z resztą koni dotarli w końcu do niewielkiego drewnianego mostu na Bugu. Na drugim brzegu mogli się już nie obawiać Niemców. Kiedy ostatni koń bezpiecznie zszedł z mostu, sądzili, że najgorsze mają za sobą. Z nową nadzieją ruszyli do oddalonego o kilka kilometrów Kowla, spodziewając się znaleźć tam miejsce odpoczynku i schronienie dla koni. Kiedy zbliżyli się do miasta, ich oczom ukazał się przerażający widok. Pomarańczowe płomienie wznosiły się ku niebu. Miasto płonęło. Ogłuszające odgłosy artylerii zbliżały się coraz bardziej. Po wielu dniach męczącej i niebezpiecznej wędrówki, nie bardziej bezpieczni niż w chwili wymarszu, nie mogli już iść dalej.

Nie widząc innego wyjścia, Pohoski podjął bolesną decyzję: postanowił wracać do Janowa, zbierając po drodze pozostawione konie. Topniejąca garstka głodnych ludzi z poobcieranymi stopami wycofywała się tą samą zatłoczoną drogą. Po pierwszych krokach w powrotną stronę czuli się tak, jakby pochłaniał ich mrok. Cała ta wyprawa, strata młodych koni – wszystko poszło na marne. Po paru kilometrach znaleźli się w miejscu, gdzie niedawno przekraczali Bug, ale przez ten czas most został zniszczony. Droga odwrotu była odcięta. Z ciężkim sercem skierowali się na południe, straciwszy szansę na odnalezienie zagubionych koni. Nie natrafiając na żaden nienaruszony most po

przejściu paru kilometrów w dół rzeki, zmusili umęczone zwierzęta, by pokonały rzekę wplaw.

Po kilku dniach wychudzeni, kulejący i wycieńczeni, w zmniejszonym składzie dotarli do Janowa. Ślaniając się na nogach, przekroczyli bramy swojego domu. Rozpoczął się pełen napięcia okres oczekiwania na najeźdźcę, który wkrótce miał się zjawić. Białe budynki i zielone pola wydawały się niezmienione. Górujący nad stacją zegar wieżowy odmierzał powoli płynący czas. Czekanie skończyło się 25 września, gdy zobaczyli na horyzoncie sześć rosyjskich czołgów. Janów znalazł się pod sowiecką okupacją.

Początkowo rosyjscy żołnierze nie okazywali większego zainteresowania końmi. Krzyształowicz i Pohoski z resztą personelu starali się schodzić im z oczu, po cichu zajmując się zwierzętami. Czujnie obserwowali sytuację, zastanawiając się, co będzie dalej. Piątego października rano mieszkańcy Janowa z niejaką ulgą spostrzegli, że Rosjanie chyba przygotowują się do odjazdu. Uczucie ulgi niebawem zmieniło się w trwogę. Żołnierze zamierzali zabrać ze sobą konie, nie zważając na ich słabą kondycję. Protesty Polaków okazały się bezowocne. Niewielka załoga stadniny nie mogła się mierzyć z pułkiem wojska.

Krzyształowicz patrzył z przerażeniem, jak butny radziecki żołnierz zdecydowanym krokiem wchodzi do boksu z niewielką siwą klaczą imieniem Najada. Kiedy próbował nałożyć jej uprząż, klacz, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, zaszarżowała i przewróciła go, kalecząc tak mocno, że dał za wygraną. Na odchodne Rosjanie podpalili stajnie, uprzednio grabiąc wszystko, co tylko możliwe. Powyrywali nawet okna z ościeżnic.

Do popołudnia 5 października z janowskich koni pozostała już tylko Najada. Splądrowane stajnie, zniszczone pożarem, stały puste. Nad resztą stadniny panował jakiś niesamowity spokój. Na stawie, rozlewającym się leniwie na skraju zielonego pastwiska, pływały łabędzie. Mieszkańcy Janowa patrzyli na końskie zady, wysoko uniesione ogony i mocne, sprężyste pęciny, gdy ich podopieczni oddalali się na wschód pod strażą radzieckich czołgów, by wreszcie zniknąć z pola widzenia. (Dopiero po wojnie Polacy dowiedzieli się, że konie miały trafić do stadniny w rosyjskim Tiersku, oddalonej o prawie 1600 kilometrów). Krzyształowicz i jego współpracownicy robili wszystko, co możliwe, by chronić swoje konie. Teraz, zaledwie pięć tygodni od rozpoczęcia wojny, pozostały im tylko puste stajnie. Tam, gdzie jeszcze przed kilkoma tygodniami w blasku słonecznych promieni galopowały po łąkach najpiękniejsze polskie żywe skarby, teraz tylko przydomowe koty włóczyły się między stajniami i po ich opustoszałych wnętrzach, wśród żłobów napełnionych do połowy niedojedzonym owsem i wiader z niedopitą wodą.

Po kilku tygodniach od wyjazdu Rosjan z przeciwnej strony pojawił się nowy nieprzyjaciel. Lśniaca czarna limuzyna z kierowcą skręciła na podjazd i wjechała na pogrążony w martwej ciszy dziedziniec stadniny. Gdy auto zatrzymało się przed wysoką wieżą zegarową, wysiadł z niego nowo mianowany komisarz do spraw hodowli koni i stadnin na okupowanych ziemiach polskich. Gustav Rau, w eleganckim palcie, obracając cygaro między palcami, przybył do zrujnowanej i ograbionej stadniny w Janowie Podlaskim, gotowy objąć swoje stanowisko. Miał za zadanie odtworzyć polską hodowlę koni na chwałę Trzeciej Rzeszy.

Ekstrawagancją nazistowskiej filozofii, tak nieludzkiej wobec ludzi, było traktowanie zwierząt z najwyższą troską i łagodnością. Hitlerowski rząd jako pierwszy na świecie zakazał wiwisekcji: przeprowadzania operacji na żywych zwierzętach w celach eksperymentalnych. Naziści zmienili także definicje humanitarnego traktowania zwierząt i wprowadzili prawa służące ich ochronie, przyjęte dopiero później przez inne kraje. Adolf Hitler był wegetarianinem i choć sam nie jeździł konno i raczej nie interesowały go bezpośrednio arkana hodowli, popierał odbudowę polskich programów hodowlanych, ponieważ odpowiadały one jego nikczemnym planom wobec Polski. Za okrutny paradoks losu można uznać fakt, że niemieccy najeźdźcy, którzy otwarcie deklarowali swoje zamiary wysiedlania, zniewalania, mordowania i wreszcie całkowitego unicestwienia ludzi zamieszkujących terytorium Polski, wysoko cenili rasowe polskie konie. Pod niemieckimi rządami hodowla koni miała

służyć dwóm celom: po pierwsze zaspokajać nienasycone zapotrzebowanie na siłę pociągową w transporcie i logistyce, po drugie dostarczać koni roboczych do prac polowych na zagarniętych obszarach rolnych.

Gustav Rau, organizator igrzysk olimpijskich, koneser pięknych koni, miał ogromny apetyt na najelegantsze w świecie okazy. Konie arabskie są znane wśród hodowców jako „uszlachetniacze”. Krycie ogierami arabskimi klaczy innych ras zwykle poprawia u ich potomstwa budowę, temperament i przydatność do jazdy – cechy szczególnie cenione u koni wojskowych. Zgodnie z zawiłą logiką rządzącą koncepcją czystości krwi konie arabskie można krzyżować z innymi rasami bez szkody dla integralności rasy. Według słów Hansa Fellgiebla, powołanego przez Raua nowego dyrektora stadniny, Janów był przed wojną „niewyczerpanym źródłem najczystszej i nieskazitelnej krwi, która z krajowego konia domowego uczyniła to, czym jest dzisiaj”. Rau natychmiast przystąpił do odbudowy najbardziej znanej polskiej stadniny. Obdarzony zdolnościami organizacyjnymi, sprawdzonymi przy przygotowywaniu konkurencji jeździeckich na olimpiadzie, zarządził poszukiwanie koni zaginionych podczas nieudanej ewakuacji i sprowadzenie ich do kierowanego przez Niemców Janowa.

Wzdłuż całego szlaku ucieczki polscy patrioci, rozumiejący, że konie są skarbem narodowym, ukrywali odnalezionych uciekinierów w stodołach i szopach; smarowali im sierść błotem, by ukryć urodę i zamaskować znaki identyfikacyjne. Chłopi bali się jednak nowych niemieckich panów i wydawali konie, jeśli natrafiono na ich ślad. Mimo to aż osiemdziesiąt procent janowskich arabsów przepadło na zawsze. Wśród zaginionych była matka Witezia, Federacja. Witeź, wychudzony, brudny i żałośnie słaby, pokuśtykał do Janowa wraz z dwoma przyrodniymi braćmi. Miał szczęście należeć do trzydziestu kilku młodych koni, które odnaleziono rozproszone po wsiach. Syn Federacji, klaczy z „krwawym znamieniem”, wyszedł cało ze swego pierwszego boju.

Polscy pracownicy Janowa początkowo trzymali się na uboczu, nie wiedząc, jak zostaną przyjęci, i obawiając się niemieckich intruzów. Krzyształowicz jednak nie mógł długo wytrzymać bez ukochanych koni. Widząc, że Hans Fellgiebel, wyznaczony przez Raua do kierowania stadnią, wydaje się rozsądnym człowiekiem, zgłosił gotowość do pracy jako masztalerz – ogromna degradacja w stosunku do wcześniejszego stanowiska zastępcy dyrektora, ale najlepsze wyjście, by pozostać przy koniach. Wkrótce życie w stadninie w jakimś przewrotnym sensie zaczęło się toczyć normalnym trybem. Przynajmniej koniom nie groziło już bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Stadnina w Janowie Podlaskim nie była jedyną przejętą przez Raua. W ręce wroga dostały się pieczołowicie utrzymywane stadniny w całej Polsce, niektóre padły ofiarą wojsk rosyjskich, inne zagarnęli Niemcy. Ich sytuacja nie wszędzie wyglądała jednakowo. Z zasady jednak Niemcy dbali o konie, uważając je za cenną zdobycz, podczas gdy konie zrabowane przez żołnierzy rosyjskich zazwyczaj można było spisać na straty. Arabcy zabrane z Janowa do stadniny w Tiersku (a później prowadzone pieszo całą drogę do Kazachstanu) spotkał zły los. Z dwudziestu siedmiu klaczy tylko dziewięć przeżyło dłużej niż trzy lata. Ogółem można powiedzieć, że lata wojny przyniosły cierpienie i koniom, i ludziom, którzy się nimi opiekowali. W porównaniu z innymi, stadniny pod zwierzchnictwem Gustava Raua miały się lepiej niż większość pozostałych. Pracując niestrudzenie z tymi, którzy przyszli jako zdobywcy, Polacy byli skłonni do wielkich poświęceń dla dobra swoich koni.

Rau sprawował nadzór nad rozbudowywaną siecią kontrolowanych przez Niemców ośrodków hodowlanych w Polsce. Jego luksusowa willa w Łodzi, odebrana żydowskiemu potentatowi handlu tekstylnego, miała widok na ogrodzenie z drutów kolczastych, za którymi znajdowało się miejskie getto. Rau przechwalał się swoim podwładnym, że ma „bezpośredni dostęp do Führera”. Tego satrapę, który trzymał w garści polską hodowlę i objeżdżając swoje nowe włości, tworzył staranną dokumentację wszystkich koni na podległym mu terenie, ktoś, kto go dobrze znał, określił mianem *Machtmensch* (człowiek władzy). Rau, któremu było dane oglądać końską elitę wszystkich państw już podczas igrzysk olimpijskich w 1912 roku, marzył o wyhodowaniu doskonałego konia dla

Niemców. Teraz, mogąc dysponować polskimi końmi w liczbie 3,9 miliona, miał ku temu niezwykle szansę. Urodziwy, inteligentny, żwawy Witeź nie umknął jego uwadze. Ci, którzy znali Raua, mówili, że nie zapomina żadnego konia, i rzeczywiście nie zapominał o polskim księciu, Witeziu.

Przyglądając się temu wiśniowogniademu arabowi, oczami wyobraźni widziało się szlachetny ród jego potomków. A co mógł widzieć ogier, patrząc na świat pogrążony w chaosie? Jego kraj rodzinny pod okupacją znosił więcej zbrodni, barbarzyństwa, zamętu i beznadziei niż którykolwiek inny kraj w Europie. Jego ojciec został uprowadzony jako łup najeźdźców, matka zaginęła na zawsze w wojennej zawierusze. Co rano w porze karmienia witał rzeniem swojego opiekuna. Potrzebował tego, co wszystkie konie – troski i przyjaźni, świeżego owsa, czystej słomy, swobody ruchu, dobrego słowa i czułej dłoni. Wokół niego kłębiły się ciemne moce wojny: ludzi opętała żądza władzy. O tym wszystkim Witeź, teraz już dwulatek, nie miał pojęcia. Mieszkańcy Polski, konie i ludzie, znaleźli się w kleszczach dwóch potężnych mocarstw, Rosji i Niemiec. Gustav Rau ustanowił sztuczny rozejm w janowskiej stadninie, ale wojna się nie skończyła. Ona się zaledwie rozpoczynała.